"Dziennik Pisany Nocą"

Ostatnim wydawnictwem Instytutu Literackiego jest "Dziennik pisany nocą" Gustawa Herling-Grudzińskiego. Jest to zbiór esejów tego świetnego pisarza, jakie ukazały się w paryskiej "Kulturze" od 1973 do 1979 r. Tom wraz z Katalogiem "Biblioteki Kultury" zawiera 366 str. Eseje Grudzińskiego potrącają różne zagadnienia, są przyjemną i pożyteczną lekturą. Poniżej kilka z nich.

* * *

Neapol, 7 maja (1975 r.)

Na początku lutego 1942, w drodze z łagru pod Archangielskiem do wojska w Środkowej Azji wylądowałem w małym miasteczku pod Wołogdą. Podróżowałem na łut szczęścia zdobywając z trudem etapami miejsce w zatłoczonych pociągach i z jeszcze większym trudem cokolwiek do jedzenia. Doświadczenie nauczyło mnie, że stając w milczeniu obok ogonka po chleb, dostawało się czasem od kogoś odłamaną i szybko wciśniętą do ręki kromkę. Wczesnym ranem w owym miasteczku pod Wołogdą, na rynku gdzie świeżo otwarto zabitą deskami od lat cerkiewkę, uformował się właśnie długi ogonek przed piekarnią. Był ostry mróz, w moich obozowych łachach i łapciach mogłem liczyć jedynie na pierwszych nabywców. Nie zwracali na mnie uwagi. Zdecydowałem się już wrócić do ciepłej poczekalni stacyjnej, gdy na rynek wszedł o kulach młody żołnierz z amputowaną nogą. Poprosił, by mu pozwolono kupić chleb poza kolejką. Nikt nie odpowiedział, głowy odwróciły się w przeciwną stronę. Wtedy krzyknął: **Ja srażałsia za rodinu!** Pokwitowano to pogardliwym pomrukiem. Szliśmy potem razem, nie odzywając się do siebie, na stację.

Zdarzenie pod Wołogdą opowiadałem wielokrotnie, przy nadarzających się po temu okazjach, jako drobny dowód kruchości tyłów sowieckich w zwycięskim stadium pochodu niemieckiego. Drobny dowód zachował swoją drobną wagę, ale teraz w moim wspomnieniu uderza mnie inny jego aspekt, prawdopodobnie aktualny w pewnym stopniu i nadal: jak mało wiadomo co kryje się w Rosji pod skorupą, jak zakonspirowany, zepchnięty głęboko w dół, jest w niej ciemny, ślepy i dziki gniew społeczny. Amalrik nie przesadzał, pisząc o potwornościach ewentualnej przyszłej rewolucji. Kitłasi się to, gnoi, zatruwa, niekiedy wybucha na butelką wódki (skoro innego ujścia nie ma). Pijany pociąg, w tonacji dramatycznej, w powieści Maksimowa **Kwarantanna.** Pijany pociąg, w tonacji komicznej, w znakomitym "poemacie" Jerofiejewa **Moskwa-Pietruszki.** Z **Podręcznika psycniatrii dla dysydentów** Gluzmana i Bukowskiego widać, jaki winien być **błagonadiożnyj sowietskij człowiek**: bez barwy, bez zapachu, bez smaku.

25 listopada

George Kennan nie jest w stanie zrozumieć, czemu Rosjanom zależało tak bardzo na zbiegowisku w Helsinkach. Przecież, począwszy od lat czterdziestych, nikt z możnych tego świata w Zachodniej Europie nie pragnął usunięcia podziału kontynentu. Przeciwnie, sama myśl o czymś podobnym wywołuje przerażenie. Mówić więc, że nie ma się zamiaru usunąć podziału Europy siłą, jest bardzo łagodnym twierdzeniem. Nie tylko nie zamierzamy osiągnąć tego siłą, ale w żaden inny sposób. Nic nie mogłoby wprawić ministrów NATO w większe zakłopotanie, niż oderwanie się jednego z krajów Wschodniej Europy od ZSRR i nagłe zapukanie do bram Zachodu. Przykładem Czechosłowacja w roku 1968; osławiona "doktryna" Sonnenfeldta oparta jest na analogicznym strachu. Kennan wybucha "zdumiony." Jakaż jest potęga "małego europeizmu" w Zachodniej Europie! Europejczycy są przywiązani do myśli, że Europa kończy się na Łabie! Kochają tę myśl! Freud bodaj powiedział, że Niemcy na wschód od Łaby zostali ochrzczeni późno i bardzo źle. Tego samego zdania był Adenauer i nie chciał słyszeć o Wschodzie. "Wszystko to dobre na dziś, ale któregoś dnia kraje Wschodniej Europy dadzą o sobie znać, będziemy mieli z nimi znowu do czynienia."

Rosjanom zależało na zbiegowisku w Helsinkach z dwóch względów. Po pierwsze, lubią pokwitowania na to co wzięli. Po drugie, pieczęć Helsinek służy im do "Pomachiwania" na Wschodzie (z podtekstem: "porzućcie wszelką nadzieję"). Nie to jednak jest najistotniejsze. Kennan ma stuprocentową rację, mówiąc o potędze "małego europeizmu." Jest ogromna, obserwuje się ją na każdym kroku: w polityce rządów, w prasie, w rozmowach z przeciętnymi obywatelami, w relacjach podróżujących na Wschód. Istnieje zachodnia, polityczna i psychologiczna podpora "murów" i "żelaznych kurtyn," na przekór rozmaitym, "krążeniom idei i ludzi" oraz "wymianom kulturalnym." Biec na pomoc, łatać, zatykać, ilekroć we Wschodniej Europie pęka coś w szwach i zagraża spoistości "bloku." Nie dopuścić, Boże broń, by drgnęła linia podziału kontynentu. Ambicję odegrania ograniczonej choćby roli na skalę całej Europy wyparła obsesja ocalenia i zakonserwowania własnego, zachodnio-europejskiego rezerwatu. Również "eurokomunizm" jest kwiatem wyhodowanym w tym rezerwacie, on sam i rosnący kredyt zaufania do niego (przywódcy "eurokomunistyczni" są niezmordowani w podkreślaniu "historycznej odmienności Europy Wschodniej," co ma być gwarancją ich przekonania o nieodwracalności podziału kontynentu).

Słusznie też Kennan nie wierzy w trwałość "małego europeizmu." Jałowe byłyby spekulacje na temat okoliczności, w którym albo europeizm przestanie być mały, albo mało co zostanie z jego zachodnioeuropejskiego rezerwatu.

15 stycznia (1979)

Stawia się obok siebie dwa bliźniacze miejsca zagłady Oświęcim i Kołymę, ostatnio zrobił to Robert Conquest w książce **Kolyma — The Artic Death Camps.** Z Kołymy wyszedł cudem, po blisko dwudziestu latach uwięzienia, Warłam Szałamow: pisarz przed którym wszyscy literaccy "gułagiści," nie wyłączając Sołżenicyna, powinni skłonić głowy. Tom przeszło stu **Opowiadań kołymskich**, wydany po rosyjsku dzięki staraniom i z przedmową Michała Hellera, zawiera przypuszczalnie cały obozowy dorobek pisarski Szałamowa.

Chcę tu zanotować jedną cechę opowiadań Szałamowa, trochę, a propos mojego wczorajszego zapisu. Nigdy nie posuwa się on, w swym obrazie kołymskiego piekła, poza granice krótkiej, suchej, niemal bezbarwnej relacji o potwornościach Kołymy, o dnie ludzkiej egzystencji, wystrzegając się pokus dopasowania stylu i języka do relacjonowanych, okrutnych faktów. Posługuje się językiem konwencjonalnie rzeczowym, właściwym raczej kronikarzowi czy autorowi raportu, niż noweliście. Unika wykrzykników i dramatycznego rozdymania słów, nawet tam gdzie mógłby do tego prowokować przedmiot opisu. Opowiada głosem wyrównanym i spokojnym, jakby lekko przyciszonym z odcieniem smutnego zamyślenia. Krócej mówiąc, wyczuwam w nim instynktowny lub świadomy lęk przed zasadzkami "brutalnej" literatury "wstrząsów" w imię wierności własnej pamięci. Ta wierność jest czysta i absolutna, tak jednocześnie zakorzeniona głęboko w rzeczywistości kołymskiego świata, że nad nowelami Szałamowa roztacza blask sztuki. Dziwny, nieoczekiwany blask w czeluściach bezkresnej nocy.

W trzystronicowej noweli **Protezy** wsadzają do izolatora obozowego kilku więźniów, same kaleki z wyjątkiem autora. Do cel izolatora nie wolno zabierać przedmiotów nieprzewidzianych regulaminem, odbywa się więc "zdawanie" protez: stalowego gorsetu, sztucznej nogi, sztucznej ręki, trąbki akustycznej, sztucznego oka. Przychodzi kolej na Szałamowa, stającego nago przed dozorcą izolatora. "Wszystkie części ciała tu zbierzemy — śmieje się cicho dozorca. — A ty co oddasz? Duszę oddasz?". "Nie — powiedziałem. Duszy nie oddam."

W **Protezach** tkwi może cały sens **Opowiadań kołymskich.** Oddasz "protezę" duszy, czy nie? Szałamow zauważa w innym opowiadaniu, że "obóz był wielką próbą sił moralnych, człowieka, zwykłej ludzkiej moralności, i dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi tej próby nie wytrzymało." Pisze też o **Religioznikach**: "Bardziej godnych ludzi niż wierzący w łagrach nie widziałem; deprawacja ogarnęła dusze wszystkich, trzymali się tylko wierzący." Nie należał do nich Szałamow, co wskazuje że słowo "tylko" jest przesadą. Ale przesadą pozorną, bo w sowieckim "wszechświecie koncentracyjnym" wiarą albo w każdym razie predyspozycją do niej stawało się przywiązanie do "protezy" duszy. Imienia Boga nie wzywano nadaremno, a modlitwy własnego układu zmawianie w duchu przez ateistów, agnostyków i indyfrentnych były szeptem bezbronnego lecz upartego człowieństwa. Gdy upór pękał, następowało przed ostateczną kapitulacją to co w psychologii określa się jako "stupor": wpatrywanie się zmętniałym, nieobecnym wzrokiem w jeden punkt: połączone zapewne z niejasną i spóźnioną świadomością, że człowiek jest za słaby by szukać oparcia wyłącznie w sobie.

Czy można żyć bez nadziei? Postawił to pytanie Dostojewski w **Zapiskach z martwego domu.** Jego dalekie echo słychać w moim **Innym Świecie.** Heller przytacza dwie wypowiedzi o nadziei, Szałamowa z Kołymy i Tadeusza Borowskiego z Oświęcimia. Szałamow: "Dla więźnia nadzieja to zawsze kajdany. Nadzieja to zawsze niewola. Człowiek z nadzieją na cokolwiek zmienia swoje zachowanie, postępuje źle częściej, niż człowiek bez nadziei." Borowski: "Nigdy w historii ludzkości nadzieja nie była tak silna, nigdy też nie przyniosła tyle zła co w tej wojnie, w tym obozie. Nie nauczono nas wyrzekać się nadziei, i dlatego giniemy w komorach gazowych." Nie można żyć bez nadziei, a żyć z nią oznaczało w łagrach pozbawiać się mizernych resztek udziału we własnym losie, jak choćby zdolność do beznadziejnego buntu lub samobójstwa. Natomiast nadzieja **religiozników** była inna, wznosiła się ponad rachubę dni, miesięcy, lat, dosięgała wolności do której oprawcy nie mieli dostępu.

Sprawy minione, w dużym stopniu już ostygłe. Z upływem czasu do trzech tomów Sołżenicyna będzie się zaglądać jak do podręcznego przewodnika encyklopedycznego; a sto opowiadań Szałamowa oglądać przez szybkę w gablocie jak sto skamieniałych odprysków "cywilizacji więziennej," z wyraźnymi odciskami słów i przyblakłymi zaciekami koloru rdzy. Zaś przyszły historyk Rosji powie, że jej "cywilizacja więzienna," zbudowana po zwycięstwie "rewolucji socjalistycznej," odegrała rolę jednego z impulsów jej "odrodzenia religijnego."

22 listopada (1979)

Pisząc o nagłej epidemii bzika (może lepiej byłoby mówić o chorobie błędnika) wśród prominentów nowej emigracji rosyjskiej, miałem również na stole wywiad z profesorem Etkindem w Die Zeit. Machnąłem po namyśle ręką, żeby nie mnożyć zasmucających przykładów: jeden mniej, jeden więcej, zjawisko jest i tak dostatecznie wyraźne. Nie, nie powinienem był pomijać wywiadu z Etkindem. Po pewnymi względami zasługuje nawet na szczególną uwagę. Zakończenie, bo ono jest tu ważne, brzmi tak:

Etkind: Sołżenicyn zbudował sobie ideał. Ideał świętej Rosji, z nowym carem i cerkwią prawosławną na szczycie.

Dziennikarz niemiecki: Ideał, na dobrą sprawę, stalinowski.

Etkind: Nie wiem, nie sformułowałbym tego — proszę wybaczyć — w sposób tak prymitywny. Raczej ideał leninowski: ktokolwiek rządzi krajem, ma kościół kształtujący ideologię kraju. Rząd i kościół, znamy to również z Francji Ludwika XIII. Voltaire chciał zastąpić kardynała filozofem. Sołżenicynowi nie jest potrzebny żaden filozof. Ani żaden kardynał. Jest mu potrzebny **ayatollah.**

(Pamiętam jak prasa "postępowa" na zachodzie zareagowała na triumfalny wjazd Khomeiniego do Teheranu. Pisano o "autentycznym przywódcy ludowym" rewolty przeciw szachowi. Potem miny stopniowo rzedły, aż obłąkany **Imam** stał się symbolem reakcji. Przydomek **ayatollah** przyczepiono Wojtyle, co miało oznaczać, że nowy papież zawiódł oczekiwania "obozu postępu." Kolej teraz na Sołżenicyna).

W dzisiejszym **Giornale** Sołżenicyn odpowiada Etkindowi. Pisze, że nawet propaganda sowiecka nie posunęła się w atakach na niego tak daleko. Skarży się na "nieuczciwy chwyt polityczny," nazywając go "trikiem perskim": "Okrucieństwa fanatyzmu muzułmańskiego podrzuca się odrodzeniu chrześcijańskiemu w Rosji; sypie się "perski proszek" w oczy tym, którzy z trudem usiłują podnieść się z ziemi choćby na kolana." I dotyka istoty rzeczy: "Istnieją osoby wysoce rozwinięte intelektualnie i politycznie, którym brak jednak całkowicie pewnego wymiaru duchowego; brak do tego stopnia, że są niewrażliwe na religię, jakby pozbawione były w ogóle organu nieodzownego do jej pojmowania; profesor Etkind daje niestety dowód przynależności do tej kategorii osób, gdy zestawia prawosławie z ideologią leninowską."

Nie jest to kwestia wiary i niewiary, lecz właśnie elementarnej wrażliwości. Można być agnostykiem, a jednocześnie rozumieć znaczenie i potrzebę religii w życiu ludzi i narodów. Zwłaszcza w krajach podbitych przez "ideologię leninowską." Spustoszenia jakich dokonał tam "ideologiczny" pomiot "filozofów" są może niewyobrażalne dla przeciętnego "wolterianina" na Zachodzie, ale powinny chyba być znane "wolterianinowi" świeżo przybyłemu z Leningradu. Włoski historyk i socjalista Valiani przytoczył niedawno, w sprawozdaniu ze swej podróży do Budapesztu, krzyk rozpaczy robotnicy węgierskiej; "Odebrali moim dzieciom Boga, nic im w zamian nie dając." Etkind, któremu los oszczędził pobytu na Archipelagu, mógłby podumać trochę o wzmiankach na temat **religiozników** w nowelach kołymskich Szałamowa i w drugim tomie pamiętnika byłej adeptki "leninizmu" Jewgienii Ginzburg. Cały problem przebudzenia religijnego w Rosji — trudny, skomplikowany, dramatyczny — sprowadzać do pomówienia wielkiego pisarza o ciągoty "aylatolliczne"!

Podobno Andropow, uzasadniając przed towarzyszami z Politbiura swój projekt wyrzucania z ZSRR niekonformistycznych pisarzy, uczonych i artystów, zachwalał go argumentem: "Wszystkich ich jak pająki do jednej bańki, zobaczycie co z tego wyniknie."



Warszawa w pierwszych dniach września 1939 r.

Aleksander Matejko

Dzieje i Postać Kard. Wyszyńskiego

Peter Raina, rodem z Kaszmiru, studiował w Oksfordzie, a następnie w początkach lat sześćdziesiąt robił studia doktorskie w Polsce (Uniwersytet Warszawski). Obecnie pracuje w Wolnym Uniwersytecie Berlińskim i od lat zajmuje się polskimi sprawami, przy czym ma nie małe zasługi w studiowaniu centralnych problemów Polski współczesnej.

Wydał pracę o stosunkach polsko-niemieckich (1975), opracował życiorys polityczny W. Gomułki (1969), przeanalizował polski rewizjonizm (1976), opracował studium o polskiej opozycji (1978). Jego książki (ogółem dotąd osiem) ukazały się po niemiecku, ale również po polsku (trzy) i angielsku (jedna).

Jako ostatnia dotąd jego książka ukazał się pierwszy tom studium "Stefan kardynał Wyszyński, Prymas Polski" (Londyn 1979: Oficyna Poetów i Malarzy, 578 stron). Ten tom obejmuje okres życia kardynała Wyszyńskiego od dzieciństwa do aresztowania.

Charakterystyczne, jak duże znaczenie dla ukształtowania osobowości Kardynała miało dzieciństwo w patriotycznie nastawionej rodzinie szlacheckiej, a następnie podczas studiów i po nich miały zetknięcia z wybitnymi postaciami katolicyzmu polskiego: ks. Antonim Szymańskim, ks. w. Korniłowiczem i innymi.

Zapewne pod ich właśnie wpływem młody ks. Wyszyński zaangażował się bardzo głęboko w sensie teoretycznym i praktycznym w stosunku do kwestii społecznych aktualnych w ówczesnej Polsce: bezrobocia, rodziny, pracy, ruchu zawodowego.

Przedstawił swe poglądy na przebudowę ustroju społecznego w szeregu publikacji, przy czym kładł nacisk na potrzebę ewolucji zamiast rewolucji (która — jego zdaniem — z reguły działa niszcząco i demoralizująco), jak również podkreślał godność osoby ludzkiej lekceważoną zarówno przez kolektywistyczny komunizm jak i nadmiernie urzeczowiony kapitalizm. Bolał nad katastrofalnymi skutkami proletaryzacji robotników i pozbawienia ich pracy w dobie kryzysu.

Podkreślał, że praca jest wartością ekonomiczną, ale nie powinna być tylko towarem, gdyż ma swój własny wymiar moralny. Prowadził wykłady w Chrześcijańskim Uniwersytecie Robotniczym we Włocławku. Po wojnie ks. Wyszyński szybko awansował na biskupa lubelskiego i na tym stanowisku zaczął od początku odgrywać istotną rolę w zakresie stosunków państwo-Kościół.

W okresie od nominacji na Prymasa Polski w listopadzie 1948 roku do aresztowania w końcu września 1953 roku, ks. prymas Wyszyński wykazał wielki talent organizacyjny, jak również nieugiętą postawę w stosunku do władz partyjno-państwowych. Ta postawa wynikała nie z jakiejś określonej pozycji politycznej niechętnej nowemu ustrojowi, ale z głębokiej świadomości faktycznej misji Kościoła.

Prymas nie miał intencji robić z Kościoła siły politycznej walczącej z ustrojem komunistycznym. Wręcz przeciwnie, szedł na ustępstwa tak dalece jak one nie zagrażały wypełnianiu przez Kościół właściwej mu roli. Zastraszanie episkopatu przez władze, wspomagane przez "postępowych" katolików (z B. Piaseckim na czele) oraz "księży patriotów" inspirowanych przez policję, nie potrafiło ugiąć Prymasa.

Kościołowi odbierano jego różne tradycyjne sfery działania jedna po drugiej i usiłowano zmobilizować szeregowych księży zarówno przeciw episkopatowi jak i Kurii Rzymskiej.

Porozumienie między rządem PRL i episkopatem polskim, podpisane w kwietniu 1950 roku, niemal od początku nie było honorowane przez władze, które przyjęły ostry kurs przeciw episkopatowi stosownie do zimno-wojennej polityki całego bloku sowieckiego w owym okresie.

Owczesne władze PRL nie umiały i nie chciały pogodzić się z faktem, że Kościół nie może stać się bezwolnym narzędziem w ich ręku. Podobnie jak zniewolone zostało niemal całe polskie społeczeństwo, również stosowano bezwzględne naciski na funkcjonariuszy Kościoła: aresztowano pod byle pozorem księży i biskupów, pozbawiano Kościół jego mienia, wykorzystywano prasę na skalę masową do niewybrednych ataków na Kościół (jednym z atakujących był W. Bieńkowski), mobilizowano laicką inteligencję do akcji przeciw Kościołowi jako rzekomej ostoji "Ciemnogrodu," usunięto administratorów apostolskich z Ziem Odzyskanych, a wreszcie wprowadzono dekretem rządowym uzależnienie od władzy rządowej wszystkich nominacji i zwolnień księży.

Aresztowanie i uwięzienie Prymasa było ukoronowaniem tej całej akcji.

W rezultacie episkopat okresowo ugiął się (oświadczenie episkopatu z 28 IX 1953) a "postępowi" katolicy wspierani przez władze partyjno-rządowe i policję uzyskali wpływ niewspółmierny do ich faktycznego udziału w Kościele.

Jednakże uwięziony Prymas (mianowany kardynałem w 1952 roku) stał się symbolem Kościoła Cierpiącego pobudzającym ludzkie sumienia zarówno w Polsce jak i szeroko poza jej granicami. Jego świadoma decyzja oporu przeciw podporządkowaniu Kościoła ateistycznemu państwu nabrała charakteru nie tylko religijnego, ale również symbolizowała obronę podstawowych praw ludzkich.

Właśnie od tego czasu datuje się w Polsce wzajemna bliskość masowego ruchu obrony praw człowieka i obywatela z Kościołem Katolickim.

O ile poprzednio między inteligencją laicką a Kościołem istniała wręcz przepaść o niej m. in. ks. S. Wyszyński w "Inteligencja w straży przedniej komunizmu," Katowice 1939), to zaangażowanie Kościoła w PRL po stronie praw ludzkich (zob. "Chrześcijanie wobec praw człowieka," Paryż 1980, Éditions du Dialogue) spowodowało, że w Europie wschodniej wysunął się on na czoło szerokiego frontu zmierzającego do liberalizacji i demokratyzacji "socjalizmu modelu sowieckiego" (zob. na ten temat: A. Michnik — "Kościół, lewica, dialog," Paryż 1977, Instytut Literacki).

Nie dość znana szerokiej opinii jest rola w tym zakresie "Tygodnika Powszechnego" w późnych latach czterdziestych i wczesnych pięćdziesiątych, przed przymusowym oddaniem go w 1953 roku pod zarząd B. Piaseckiemu.

Peter Raina słusznie przypomina tę rolę, jak również wkład "Tygodnika Warszawskiego," którego skład redakcyjny aresztowano, a redaktor naczelny zmarł w rezultacie uwięzienia go.

Dobrze, że historię życia kardynała Wyszyńskiego P. Raina potraktował na szerokim tle historii katolicyzmu w tej epoce dziejowej, gdyż tylko w ten sposób można w pełni zrozumieć heroiczną rolę Kardynała, jak również źródła, z których ona wypłynęła.

Należy tutaj podkreślić znaczenie solidnego przygotowania akademickiego jakie posiadł Kardynał, jak również wysoki walor jego charakteru.

W obecnej dobie polskiemu społeczeństwu bardzo potrzeba pozytywnych bohaterów jako wzorców osobistych i książka, którą napisał P. Raina, w dodatku zaopatrzona w aneksy dotyczące wielu cennych dokumentów, może być dla wielu współczesnych Polaków zarówno w Polsce jak i za granicą lekturą wysokiej klasy, bardzo inspirującą krytyczno - konstruktywne spojrzenie na samego siebie.

Tydzień Polski

Dzieje Zbiorów Czartoryskich

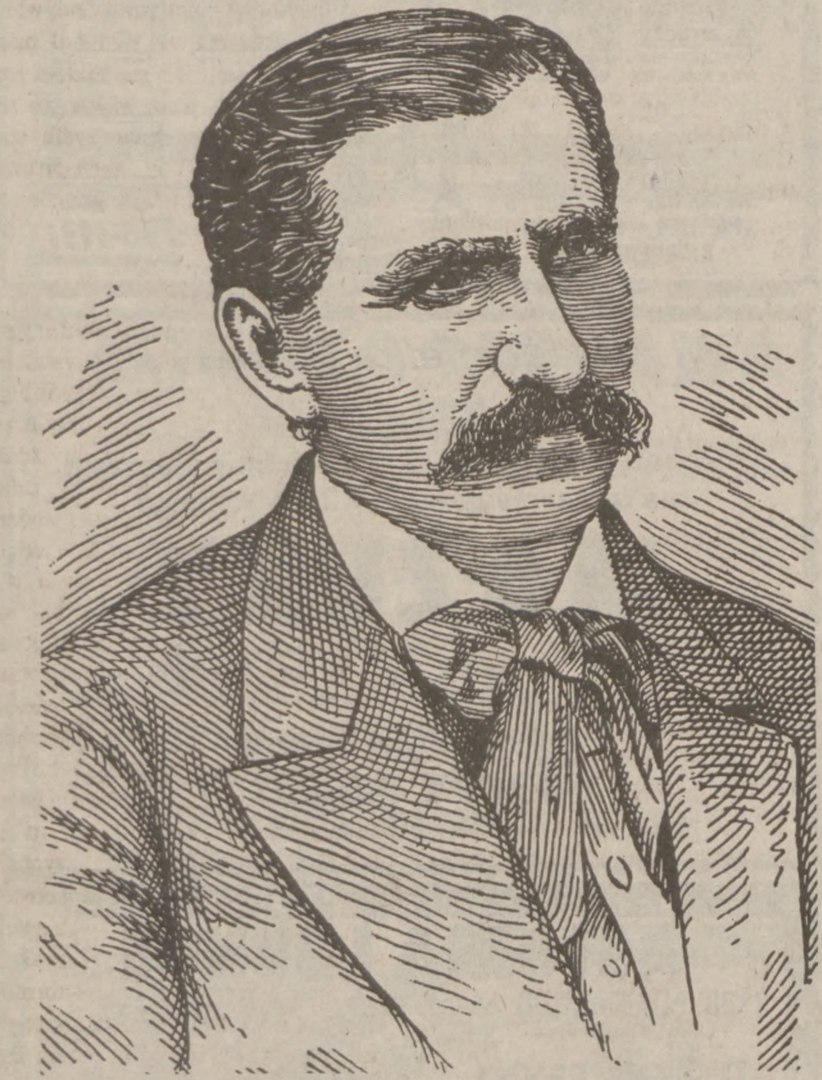
Z okazji stulecia krakowskiego Muzeum Narodowego krajowe wydawnictwo "Arkady" wydało wspaniały album, prezentujący zbiory Czartoryskich — a więc istotną część eksponatów krakowskiej placówki.

Trzon tych bogatych i uzupełnianych przez następne pokolenia zbiorów stanowiła cenna puławska kolekcja księżnej Izabeli Czartoryskiej. Jej wnuk Władysław, zapalony i wybitny kolekcjoner, polecił w roku 1876 zgromadzić w Krakowie wszystkie rodzinne zbiory muzealne i biblioteczne, rozsiane po całym kraju i zagranicy. Urządził następnie własnym sumptem muzeum w oddanym na ten cel przez miasto Arsenale i zakupionym budynku popijarskim. I tak powstała instytucja bliska i znana każdemu Polakowi, kochającemu swą przeszłość i sztukę. Najcenniejszym obiektem kolekcji Czartoryskich jest "Portret Damy w gronostajach" Leonarda da Vinci, a także obrazy Rembrandta.

Maria Mirecka-Loryś

Ekshumacja Zwłok A. Gillera Ojca Duchowego ZNP

Na miejskim cmentarzu w Stanisławowie od 1887 roku spoczywały zwłoki wybitnego polaka, Agatona Gillera. urodzony w 1831 roku w Polsce, już jako 18-letni chłopiec został zesłany na Sybir za działalność polityczną, skąd wrócił w 1861 roku. Po wybuchu Powstania Styczniowego został członkiem Rządu Narodowego. Po upadku Powstania wyjechał do Niemiec do Lipska, ażeby dalej kontynuować działalność polityczną. Tam założył z Ignacym J. Kraszewskim pismo "Niepodległość". W 1870 roku znowu wrócił do Lwowa, gdzie został redaktorem "Ruchu Literackiego". Ale już w 1876 za swoją patriotyczną działalność został wydalony ze Lwowa i udał się do Rapperswillu, w Szwajcarii, gdzie kontynuował pracę polityczną. Kiedy pozwolono mu wrócić do kraju w 1887 r. zamieszkał w Stanisławowie i tam 13 sierpnia 1887 r. zmarł na zapalenie płuc. Został pochowany na koszt miasta Stanisławowa. Tak w krótkim zarysie wyglądało życie tego gorącego patrioty.



Agaton Giller — Ojciec duchowy ZNP

Agaton Giller mimo że nigdy nie był w Ameryce, jest uważany za ojca duchowego Związku Narodowego Polskiego, jako że odegrał ogromną rolę przy powstawaniu tej organizacji. Decydującym czynnikiem był jego list wysłany z Rappersvilu do Ameryki "O organizacji Polaków w Ameryce", w którym uzasadniał potrzebę zorganizowania Wychodźstwa Polskiego w Ameryce. Między innymi tak pisze on w cytowanym liście:

"Tak więc organizacja nie tylko że zachować może dla narodowości masę polskiego żywiołu w Ameryce, nie tylko że może go wykształcić i wyrobić na czynnik użyteczny dla sprawy polskiej na terytorium republiki, z której wpływem i potęgą już dzisiaj rachuje się Europa — ale może przysposobić i powrócić ojczyźnie nie jednego z tych, którzy ją dobrowolnie lub przymusowo opuścili.



Grobowiec A. Gillera
Na Powązkach w Warszawie

"Nie stawiamy na widoku tych korzyści, jakie wielka organizacja czyli uspołecznienie Polaków w Ameryce, może przynieść w stanowczej chwili rozstrzygnięcia się losów ojczyzny, bo łatwo się ich domyślać można".

Były to prorocze słowa, dlatego Związek Narodowy Polski poczuwa się do ogromnej wdzięczności za te złote myśli zawarte w tym liście.

W uznaniu za jego działalność patriotyczną grób śp. Agatona Gillera był utrzymany przez mieszkańców Stanisławowa serdeczną troską. W mieście tym była też ulica nazwana jego imieniem.

Ale widocznie nie było mu przeznaczone spoczywać tam w spokoju, bo po 2-giej Wojnie Światowej Stanisławów znalazł się na terenach zajętych przez Rosję, a miasto zostało nazwano Iwano-Frankowsk. Miasto to rozbudowało się i miejski cmentarz znalazł się w granicach miasta. Żyjący krewni i znajomi starali się o ekshumację zwłok bliskich im osób.

Prezes ZNP mec. Alojzy Mazewski na wiadomość o losie cmentarza i grobów w Stanisławowie, postanowił wszcząć akcję o ekshumację zwłok Agatona Gillera ze Stanisławowa do



Tablice na grobowcu A. Gillera w Warszawie

Warszawy.

Ponieważ moi rodzice pochodzą ze Wschodniej Małopolski i wielu członków i dalszej rodziny jeszcze tam pozostało, prezes Mazewski zwrócił się do mnie, ażebym zajęła się tą sprawą. Ja z kolei zwróciłam się do mojego brata, mec. Leona Mireckiego, zamieszkałego w Warszawie, ażeby rozpoczął starania na miejscu.

Brat mój złożył w 1978 r. podanie w ambasadzie rosyjskiej w Warszawei o zezwolenie na ekshumację zwłok śp. Gillera. Sprawa trochę się skomplikowała, bo zarząd miasta Stanisławowa postanowił pozostawić 17 grobów wybitnych osób na miejscu. Jednym z nich był Agaton Giller. Wyłoniła się szeroka dyskusja, jak należy postąpić. Czy zostawić grób jako wieczystą pamiątkę poza obecnymi granicami Polski, czy dalej prowadzić starania o ekshumację? Miejscowe czynniki radziły, ażeby jednak zabrać szczątki, żeby w przyszłości grób nie został na skutek nieprzewidzianych wydarzeń, czy decyzji zlikwidowany.

Po dwóch latach oczekiwania, w lipcu 1980 r. przyszła decyzja z ambasady rosyjskiej zezwalająca na ekshumację. Po załatwieniu różnych formalności, 26 czerwca 1981 r. nadeszło listowne zawiadomienie, że szczątki Agatona Gillera bardzo dobrze zapakowane w trumience z blachy cynowej, długości około 1 metra i 30 cm., z krzyżem i akcesoriami pogrzebowymi, zabezpieczone kilkoma pieczęciami, zostały przesłane na teren Polski do Przemyśla. W tym czasie granica między Polską a Rosją była zamknięta, ale okazało się, że to dotyczyło tylko żywych osób. Od Przemyśla dalszymi losami zwłok zajęło się Biuro Opieki nad Grobami Obcokrajowców (BONGO), Foreign Graves Government Office. Tymczasowo złożono trumnę w podziemiach kościoła na Powązkach w Warszawie.

Następną fazą było uzyskanie odpowiedniego miejsca na cmentarzu. W tym celu mec. Mirecki złożył podanie do zarządu cmentarzami do Kurii Biskupiej, która wyznacza miejsca, z prośbą o przydzielenie odpowiedniego miejsca na grób, pisząc: "Proszę o takie miejsce, któreby zadawalniało opinię krajową i zagraniczną oraz było łatwo dostępne, dla odwiedzających grób również z zagranicy, szczególnie wycieczek z Ameryki, gdzie pamięć o nim jest żywa i czcią otoczona".

Kuria Biskupia załatwiła przychylnie to podanie, aprobując złożenie szczątków śp. Gillera na cmentarzu Powązkowskim. Trumna miała być złożona w Alei Zasłużonych, ale tam już pozostały jedynie wąskie miejsca. Ostatecznie Leon Mirecki w porozumieniu z dyrektorem cmentarza wybrali miejsce przy głównej alei, na wprost bramy Św. Honoraty, blisko kościoła, w kwaterze oznaczonej numerem 13-6-18. Jest to kwatera, w obrębie której znajdują się stare pomniki sprzed stu lat, właśnie z tej epoki, kiedy był postawiony pomnik Gillera w Stanisławowie. W pobliżu znajduje się grób Moniuszki, rodziców Fryderyka Chopina, Józefa Elsnera, nauczyciela Chopina i innych.

Nowy pomnik został wykonany na wzór oryginalnego pomnika z cmentarza w Stanisławowie, na podstawie fotografii, bez postaci anioła i żelaznego ogrodzenia. Pomnik został wykonany z szarego granitu, a krzyż i tablicę z czarnego granitu. Chodziło o jak najwierniejsze odtworzenie oryginału, dla zachowania tradycji. Wykonanie pomnika powierzono Zakładom Kamieniarskim Tadeusza Majorkiewicza. Wymurowanie grobu dokonały zakłady Kamieniarsko-Betoniarskie Jerzego Konopki. Pomnik został ukończony na koniec września 1981 r.

Na pomniku widnieje napis:

ŚP.
AGATON GILLER
1861-1887
Członek Rządu Narodowego 1863 r.
Sybirak, pisarz, historyk, dziennikarz
Ojciec Duchowy Związku Narodowego
Polskiego w Ameryce
Pochowany w Stanisławowie — staraniem
Związku Narodowego Polskiego
sprowadzony do Warszawy w 1981 r.

Według relacji osób z Polski, pomnik zwraca uwagę odwiedzających cmentarz, a umieszczony napis jest często komentowany. Zasłużony człowiek i gorący patriota, został godnie pochowany.

Prezes A. Mazewski oświadczył, że ZNP nie planuje urządzenia wielkich uroczystości z okazcji odsłonięcia i poświęcenia pomnika, ale najważniejsze, że organizacja spełniła obowiązek wobec swojego ojca duchowego i dała dowód pamięci i wdzięczności temu, który w dużym stopniu przyczynił się do jej powstania.

Myśli

— Skleroza miałaby i swoją dobrą stronę, gdyby człowiek pod jej wpływem stawał się mniej pamiętliwy czy zapamiętały.

Roman Stefanowski

* * *

— Są kobiety które mają za duże usta do słuchania. **(Colette)**

Gustaw Herling-Grudziński

Piętno

Ostatnie Opowiadanie Kołymskie

"To co ja widziałem, tego człowiek nie powinien widzieć i nawet nie powinien wiedzieć".
"Przestraszyłem się strasznej siły człowieka, pragnienia i umiejętności zapominania".
"Chciałem być sam, nie bałem się wspomnień".

Warłam Szalamów: *Opowiadania kołymskie.*

Wielki Pisarz umierał. Umierał od trzech dni, odkąd opierającego się resztkami sił, przekonanego, że jedzie znowu na Kołymę, pobitego i potłuczonego, z zawiązanymi do tyłu rękami, przeniesiono go z domu starców i inwalidów do szpitala psychiatrycznego na przedmieściach Moskwy. Umierał od trzech dni, nie rozumiejąc, że umiera. Życie uchodziło z niego wolno, tylko uchodziło, ani na chwilę nie wracało, na tę krótką bodaj chwilę, która umierającemu uprzytamnia umieranie. Siedział na łóżku w pasiastej piżamie, w pokoiku o zakratowanym oknie, naprzeciw okutych drzwi z okrągłym wziernikiem, wzięty dniem w dwa ognie światła: z żarówki nad drzwiami i z oblodzonej szyby okiennej, omotany nocą promieniami żarówki. Na korytarzu rozlegały się czasem kroki, wybuchały krzyki i złorzeczenia, zgrzytały klucze w zamkach; nie słyszał ich. Z okna rozpościerał się widok na pusty, zaśnieżony dziedziniec, odgrodzony murem od ulicy; nie dla niego ten widok. Do pokoju wchodziła niekiedy starsza kobieta w białym kitlu; podnosił z trudem powieki i zamglonym wzrokiem przywierał do szybkiego ruchu jej warg, ale jego warg nie poruszało nawet lekkie drżenie. Od dawna był głuchy i prawie ślepy, a ostatnio zaczął także tracić mowę; jego bełkot znaczył coś wyłącznie dla jednego przyjaciela, odwiedzającego go co jakiś czas w domu starców i inwalidów.

Siedział na łóżku wychudły, widać, że niegdyś wysoki i barczysty, teraz podobny do skamieliny albo do ogromnego sopla lodowego o ludzkich kształtach. Do pasiaka przyciskał dłońmi, mocnym uchwytem obu dłoni, miseczkę z niedojedzoną kaszą i z wetkniętą w nią łyżką. Masywna bryła jego głowy, obrośnięta włosami, jak skalnym mchem, wisiała nad miseczką w tak zastygłej pozie, z tak napiętym uporem, że zdawał się półprzymkniętymi oczami szukać czegoś drogocennego i nagle zgubionego. Może siedział bez ruchu, przyczajony do odparcia nowego ataku? Dziwiono się, że nie odczuwa senności i starczego osłabienia; i że pobicie nie wydobywa z niego żadnego jęku. Zdrętwiał na wieki? Znalazł sposób powściągania śmierci swoją drętwotą? Czy to okamienienie pochodziło stąd, że umierał nie rozumiejąc iż umierał?

Zaraz po przewiezieniu do szpitala poraził go paraliż pamięci. Paraliż zupełny, z wyjątkiem jednego obrazu. Ten obraz stanowił kiedyś rdzeń jego opowiadania o "przybiciu do brzegu piekła." Mroczne sylwetki skał, otaczających zatokę Nagajewo. Gdzieś daleko w tyle za oceanem, w innym, rzeczywistym świecie zgasła na zawsze jesienna jaskrawość barw. Tu, u bram Kołymy, z nieba ciekła na ziemię gęsta czerń. Dokoła ni śladu ludzkiego życia, było ciemno i zimno, więźniów wyprowadzanych ze statku na ląd, na "Brzeg piekła," wchłaniała noc bez kresu. I taka noc bez kresu, wroga i okrutna, wypełniła na nowo po latach jego serce, wypełniła go całego, nie pozostawiając miejsca na nic innego. Jak gdyby w jego żyłach popłynęła leniwie, wywołując swym przepychaniem tępy ból, czarna i gęsta krew.

Przyszły biograf Wielkiego Pisarza zauważy pewnie, że umierał co dzień, co godzinę, co minutę, w ciągu dwudziestu kołymskich lat. Dwadzieścia lat czołgał się na skraju otchłani, wiedząc co znaczy każdy najdrobniejszy ześlizg. Lecz wiedział nie tylko o tym. "Wiedziałem, że nikt na świecie nie zmusi mnie do odebrania sobie życia. Właśnie wtedy zacząłem rozumieć istotę wielkiego instynktu życia." Właśnie wtedy, wśród ciągłych pytań: "Pozostał człowiekiem, czy nie?" Co więc było istotą wielkiego instynktu życia? Nie zapominać. Nie po to żeby pewnego dnia innym przekazać swoje wspomnienia, nie, skoro istnieją rzeczy, których człowiek, uniknąwszy pobytu w piekle, nie powienien wiedzieć. Istotą wielkiego instynktu życia była potrzeba przechowywania w duszy wszystkich zaznanych cierpień, przechowywania do ostatniego tchu, pod groźbą utraty własnej tożsamości. Istotą wielkiego instynktu życia było samo życie, choćby najstraszniejsze i ciężkie, jak niesiony na Golgotę krzyż.

Gdy po dwudziestu latach wrócił do Moskwy, porzuciła go żona i wyrzekła go się córka. Na Kołymie zdawało mu się często, że dotknął dna samotności; poznał ją jednak naprawdę dopiero u progu wolności. Jest taka granica, poza którą człowiek obsolutnie samotny lęka się samego siebie, usiłuje uciec przed samym sobą. W jego wypadku mogło to oznaczać tylko ucieczkę od kołymskiej przeszłości. Cwiczył się w tej ucieczce, zaszedł w niej tak daleko, że bywał chwilami niepewny gdzie i jak spędził pół życia. Ogarniała go wówczas pustka, jałowa lekkość odurzenia i wewnętrznego wydrążenia. Aż którejś nocy, wpatrzony w sufit, poczuł w piersiach gwałtowny ucisk. Próbował się z niego wyszarpnąć, ale ucisk wzmógł się, podpłynął do gardła i zamienił w duszność. Rozprężył go w końcu wybuch suchego szlochu, połączony z uczuciem łagodnego opadania w dół, przetykany słowem "nie, nie, nie." Wielki Pisarz opisał to później w jednym z opowiadań: "Uprzytomniłem sobie naraz, że gotów już jestem wszystko zapomnieć, wykreślić dwadzieścia lat z mojego życia, i jakich lat. Kiedy to zrozumiałem, odniosłem zwycięstwo nad samym sobą. Wiedziałem, że nie pozwolę mojej pamięci wyzbyć się wszystkiego co widziałem. Uspokoiłem się i zasnąłem."

Pisał swoje opowiadania, nie dbając o ich dalszy los. Pisał aby "pozostały w naturze," trwały, obojętne dla kogo, obojętne gdzie, obojętne jak; ziemia nie dba przecież kto, gdzie i jak sięga po jej płody, morze nie ogląda się za tym co w przypływie wyrzuciło ze swych głębin na przybrzeżne skały. Każde opowiadanie miało kształt, jakby wiersza, rozwijało się w strofach obudowanych wokół jądra epizodu czy zdarzenia. Szukał wolno, w męce i milczeniu, słów przylegających dokładnie do opisywanych rzęczy. "Nie mogłem, nie mogłem wycisnąć z mojego wysuszoneg łagrem mózgu ani jednego zbędnego słowa."

Nie było w jego opowiadaniach ani jednego zbędnego słowa, nie było słowa, którego nie ważyłby długo i podejrzliwie na zeskorupiałej dłoni łagiernika. Nie dbał o los swoich opowiadań, a jednak przedzierały się różnymi drogami w świat. Napisał ich przeszło sto, mógłby był napisać drugie tyle. Stał się największym eksploratorem, kartografem, kronikarzem nieznanego archipelagu, piekła zgotowanego ludziom przez ludzi. Gdyby mu starczyło sił, gdyby zostawiono go w spokoju. . . . Ale ślepł, głuchł, niedołężniał; i zażądano od niego deklaracji, że życie odebrało jego opowiadaniom aktualność. Napisał ją, wywołując wśród bliskich mu osób pomówienia a "zdradę." Został sam. Chciał być sam, nie bał się dalej wspomnień, lecz zgodził się by oniemiały; i by towarzyszyły mu nieme w jego własnej, postępującej niemocie. W nagrodę za "zdradę" przyznano mu miejsce w domu starców i inwalidów, ciepły, przytulny pokój. Był w nim "na swój sposób" szczęśliwy, jak na "swój sposób" szczęśliwy był ślepy pop z jego opowiadania Krzyż, który starał się spać dniem i nocą, bo jedynie we śnie widział. W siedemdziesiątą piątą rocznicę urodzin odżyła w nim pokusa pisarska. Podczas wizyty jedynego przyjaciela wybełkotał do niego kilkanaście krótkich wierszy, które ukazały się drukiem za granicą. Ukarano go za to półwięzienną celą w szpitalu psychiatrycznym.

Umierał w niej od trzech dni, nie rozumiejąc, że umiera. I wciąż ten sam obraz, ta sama wizja raczej. Czarna brama, ktoś niewidzialny bije w nią taranem, ku bramie posuwa się czarny korowó ludzki, zatrzymuje się nagle i próbuje cofnąć, drżą czarne skały po obu stronach bramy, czarne niebo obsuwa się na nie, jak pokrywa, brama rozwiera się powoli, za nią kłębią się w oddali czarne chmury zaróżowione od ognia, czarne morze ociera się o brzeg, jak ogromne zwierzę o zjeżonej sierści, korowód ludzki rusza znów naprzód i niknie, topnieje stopniowo w czarno-ognistej czeluści.

Zaciskał mocniej jeszcze miseczkę w dłoniach, wparł się kurczowo nogami w podłogę by wytrwać w pozycji siedzącej. Wytrwał w niej do świtu czwartego dnia. Gdy zabielała szyba w oblodzonym oknie, opadł na poduszkę i podciągnął nogi, nadal przyciskając miseczkę do brzucha. Z płytkiej drzemki wytrącił go dotyk czegoś ciepłego na twarzy, na głowie, na szyi. Nie miał już siły podnieść powiek, nie mógł nawet przez mgłę zobaczyć starszej kobiety w białym kitlu, która głaskała go, obejmowała i monotonnie powtarzała jakiś okrzyk. Nie widząc jej i nie słysząc, przeczuwając tylko bliskość odtajania, wspomniał kołymską Annę Pawłowną, drobną i wątłą kobietę, co przechodziła raz na złotej odkrywce koło ich brygady, wskazała ręką zachodzące słońce i krzyknęła: Skoro uże, rbiata, skoro! "Zapamiętałem ją na całe życie," wyznał w swoim opowiadaniu. Zapamiętał ją na całe życie, jako najpiękniejszy wizerunek i znak Nadziei. Tyle znaczyła tam i wówczas nadzieja: wrócić do baraku i zwalić się na pryczę. "Nie można żyć bez nadziei," pisał wiek wcześniej kronikarz Martwego Domu. A umrzeć można? Można umrzeć bez nadziei? Nareszcie zrozumiał, że umiera, nareszcie zmartwychwstały w nim i zatłoczyły się na krótko wspomnienia, nareszcie odzyskała władzę pamięć niepokonana. Uśmiechnął się: w jego słabym, ledwie dostrzegalnym uśmiechu cień męki splótł się z cieniem triumfu. Umarł jak się zasypia po utrudzeniu długą wędrówką, zanurzając się lekko w czystą i czarną toń. Przyszły biograf Wielkiego Pisarza postara się z pewnością ustalić, w czyich umarł ramionach.

Leży oto w trumnie obsypany kwiatami, nad nim celebruje na podwyższeniu pop. Pomieszczenie zamienione na kaplicę jest niewielkie i ciemne, trzydzieści osób z cienkimi, jarzącymi się świeczkami w palcach otacza trumnę ciasnym kręgiem. Spadł tego dnia styczniowego obfity śnieg i równocześnie pocieplało. Od jaskrawej białości za oknami zbladły w półmroku kaplicy gwiaździste płomyki świeczek, zbladły też twarze stojących w kręgu. Chciałoby się z tych twarzy odczytać cokolwiek, lecz wszystkie przylgnęły spojrzeniami do twarzy zmarłego.

Jego twarz jest własną maską pośmiertną. Głębokie oczodoły, wydłużony i zaostrzony nos, bruzdy, jak od cięć na policzkach, gorzki, trochę szyderczy grymas ocalały z przedśmiertnego uśmiechu — tylko z twarzy od dawna martwej śmierć mogła zdjąć taką maskę. Pop zamknął modlitewnik, przeżegnał zwłoki i zszedł z podwyższenia. Zaległa cisza. Z kręgu stojących wystąpił młody człowiek, zbliżył się do trumny, podniósł świeczkę, która zaświeciła w jego oczach szybki błysk, dźwięcznym i mocnym głosem powiedział: "Na każdej twarzy Kołyma wypisała swoje słowa, zostawiła swój ślad, wyrąbała dodatkowe zmarszczki, odcisnęła wieczyste piętno, niezmywalne piętno, niezatarte piętno!" Było to zdanie z opowiadania Wielkiego Pisarza, zatytułowanego Cisza. I w Kaplicy zaległa znowu cisza.

Niesiono do grobu trumnę Wielkiego Pisarza otwartą, na jego maskę pośmiertną padały ostatnie płatki śnieżycy, tajały natychmiast i obmywały ją kroplistymi strużkami. Otarła ją dużą chustą, przed zamknięciem trumny, jedna z kobiet.

Przyszły biograf Wielkiego Pisarza pochwali zapewne wybór pożegnalnego zdania przez młodego człowieka. Jest ono swoistym unikatem w twórczości autora, który jak wiadomo wystrzegał się zbędnych słów i z nieufnością odnosił się do wykrzykników. Po trzykroć użyte PIĘTNO, poprzedzone tak dobitnymi przymiotnikami, wzmocnione wykrzyknikiem, brzmi w jego Ciszy, jak biblijne przekleństwo i podziemny huk.

Kwiecień 1982 **Kultura (Paryż)**

Nagrodzony Film Telewizyjny

Polski film telewizyjny Krystyny Bogusławskiej i Jacka Hohensee "Sześć kompozycji na muzykę i ekran telewizyjny" otrzymał nagrodę "Premios Ondas — 1981" na międzynarodowym konkursie twórczości radiowej i telewizyjnej w Barcelonie.